

Kolankowski, Zygmunt

Praca w Wydziale Archiwów Państwowych (1949-1951) : fragment wspomnień

Acta Universitatis Nicolai Copernici. Historia 19 (147), 205-222

1984

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Archiwum PAN w Warszawie

Zygmunt Kolankowski

PRACA W WYDZIALE ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH (1949—1951)

FRAGMENT WSPOMNIENÍ

1. MOJA DROGA DO ARCHIWÓW

Do pracy w Wydziale Archiwów Państwowych przesunięty zostałem z dniem 1 listopada 1949 r. na mocy decyzji ówczesnego ministra Oświaty dra Stanisława Skrzyszewskiego. Po zakończeniu w początkach 1948 r. mej pracy w Ambasadzie PRL w Paryżu, od 1 marca 1948 r. przydzielony zostałem do Wydziału Stosunków z Zagranicą wchodzącego w skład Gabinetu Ministra Oświaty. Była to praca wręcz katorżnicza: kilkuosobowy zespół pracował bez wytchnienia przez całą niemal dobę, jeśli się weźmie pod uwagę późne lub dla odmiany bardzo wczesne godziny przyjazdów i wyjazdów różnych osobistości krajowych i zagranicznych, które należało witać czy też żegnać na lotnisku i dworcach kolejowych. Sprawy dziś podzielone na kilka dużych komórek Min. Oświaty i Wychowania, Min. Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Polskiej Akademii Nauk i załatwiane przez co najmniej kilkadziesiąt osób, spadały na barki, głowy i przede wszystkim nerwy kilkuosobowej komórki: wszystkie wyjazdy uczonych polskich na kongresy i zjazdy naukowe, na badania i wykłady, młodszych na studia i stypendia, masowe przyjazdy dzieci Polonii na wakacje w kraju, wszystkie delegacje nieraz wieloosobowe przybywające do Polski, goście indywidualni — niejednokrotnie najwybitniejsi uczeni o światowym rozgłosie — tworzyło to bezustanny „młyn”, wyczerpujący i pochłaniający całkowicie czas i zdrowie. Poza tym długotrwała choroba naczelnika wydziału p. Joanny Hrynyczyszyn spowodowała, że na mnie spadła na wiele miesięcy pełna odpowiedzialność za tok i tryb pracy.

W tych warunkach, kiedy po powrocie Pani Naczelnik z kuracji powstały odpowiednie przesłanki, od lata 1949 r. niejednokrotnie zwracałem się do ministra Skrzyszewskiego (znanego mi dobrze z okresu

wspólnej pracy na placówce paryskiej w 1946 i 1947 r.) o przeniesienie do pracy odpowiadającej mym zamiłowaniom i ambicjom naukowym.

Ministerstwu Oświaty podlegały wówczas dwie tego typu komórki: Naczelna Dyrekcja Bibliotek i Wydział Archiwów Państwowych, o którym wiadomo było, że zostanie niebawem również podniesiony do rangi Naczelnej Dyrekcji. Wnioski i prośby swe stawiałem alternatywnie, tu — albo tu — gdzie będą mnie chcieli i potrzebowali.

Tak się złożyło, że w obu tych komórkach nastąpiły w tym czasie poważne zmiany. Tak się złożyło również, że zmian tych byłem świadkiem — i co więcej — biernym (na szczęście) uczestnikiem. Oto z wiosną 1949 r. wybuchła nagle w placówkach tych burza personalna; zwolniono w trybie natychmiastowym kierowników — dra Witolda Suchodolskiego, dyrektora Wydziału Archiwów (tytuł dyrektora przysługiwał mu jak wiadomo tradycyjnie od czasów dekretu z 1919 r.) i prof. dr Józefa Grycza z Dyrekcji Bibliotek. Obydwu znałem z czasów przedwojennych — stykałem się z nimi jednakże dość powierzchownie, przy czym nieco bliższe kontakty łączyły mnie ostatnio z J. Gryczem, któremu jeszcze w lecie 1945 r. przekazywałem uratowane przez mego Ojca z płonącej Warszawy i przechowywane w zamurowanej skrytce kolegiaty łowickiej najcenniejsze skarby Biblioteki Ordynacji Zamoyskich.

Przyczyną ich zwolnienia był zarzut wydania — z pominięciem właściwej drogi służbowej — w ręce ambasady holenderskiej w Warszawie dużego zestawu druków i rękopisów. Wedle tego, co pamiętam rzecz miała się tak: zaraz po wojnie Polska przystąpiła do konwencji o wzajemnym zwrocie mienia kulturalnego wywiezionego przez hitlerowców z różnych krajów okupowanych. W składnicy tzw. zbiorów zabezpieczonych w Gliwicach (kierował nią chyba już wtedy zasłużony bibliotekarz śląski dr Szymiczek) znalazł się w trybie zabezpieczenia duży zestaw kilkudziesięciu (chyba niespełna 100) skrzyń jednolicie oznakowanych, stanowiących niewątpliwie jakąś zwartą całość.

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi — obaj wymienieni dyrektorzy dokonali osobiście otwarcia kilku skrzyń, stwierdzając, że zawierają przeważnie druki (książki i broszury) opatrzone sygnaturami i pieczęciami własnościowymi zbiorów w Amsterdamie. Bezzwłocznie zawiadomili Ambasadę Holandii w Warszawie i przekazali całość skrzyń, nie informując o tym ani Wydziału Zagranicznego Ministerstwa Oświaty (gdzie wówczas sprawowałem funkcję p.o. naczelnika), ani Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Sprawa wybuchła wtedy, gdy do tegoż Ministerstwa zgłosił się przedstawiciel Ambasady, prosząc o załatwienie wagonów towarowych dla transportu skrzyń, zawierających, jak się wtedy dopiero okazało, zbiory Archiwum Międzynarodówki Socjalistycznej w Amsterdamie. Byłem

w związku z tym indagowany przez mego bezpośredniego przełożonego dyrektora gabinetu Ministra Oświaty dra Józefa Barbaga (późniejszego profesora, geografa, zmarłego wczesnym latem 1982 r.). Badano akta sprawy, doszukując się mej parafy — na moje szczęście nie znaleziono śladu, bym był w jakikolwiek sposób informowany. Istotnie, nic o całej sprawie nie wiedziałem — a gdybym był wiedział z całą pewnością obowiązkiem moim byłoby doradzić porozumienie z MSZ-tem.

Zatrzymałem się przydługo nad tym incydentem, gdyż miał on poważny wpływ na dalsze losy zarówno bibliotek jak i, może w większej mierze, archiwów polskich.

Po zwolnieniu W. Suchodolskiego dyrektorem Wydziału Archiwów został dr Rafał Gerber, w bibliotekach miejsce J. Grycza zajął dr Józef Skrzypek.

Rafał Gerber wrócił ze Związku Radzieckiego na wiosnę 1949 r. i przydzielony był jeszcze za czasów W. Suchodolskiego do Wydziału Archiwów jako pracownik naukowy bez specjalnego zakresu zadań — wydaje się, że po prostu wyczekiwał na otwarcie tak czy inaczej wakatu; poznać go miałem dopiero jako szefa służby archiwalnej i mego przełożonego. Skrzypek znany mi był doskonale z okresu przedwojennego, jako dawny asystent katedry Historii Polski Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, bliski współpracownik Stanisława Zakrzewskiego, a później mego Ojca, następcy Zakrzewskiego na katedrze; przed wojną, chyba od 1938 r. lub początku 1939 r., przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Instytucie Historii Najnowszej.

Tak więc w połowie października 1949 r. wezwał mnie minister Skrzyszewski i zakomunikował, że zgadza się na me odejście z Wydziału Zagranicznego i przejście do Wydziału Archiwów. Napisałem odpowiednie podanie i zgłosiłem się do dra Rafała Gerbera.

O pracy w archiwach marzyłem od dawnych lat. Moja praca doktorska, szereg prac seminaryjnych przez czas uczestniczenia w zajęciach Katedry Historii Ustroju dawnej Polski i dawnego polskiego prawa sądowego kierowanej przez prof. Józefa Rafacza, pod właściwą opieką naukową dra, a później docenta, Stanisława Borowskiego, umożliwiły mi zetknięcie z prawie pełnym kompletem ogłoszonych drukiem źródeł sądów grodzkich i ziemskich z nieporównaną serią „AGZ” na czele¹. Fascynował mnie „szary człowiek” wylaniający się z kart tych wydawnictw. Urzekwały mnie autentyczne, zachowane w dokumentach, żywe —

¹ *Akta grodzkie i ziemskie z archiwum bernardyńskiego we Lwowie*, t. 11—19, Lwów 1886—1906 — Ksawery Liske i Antoni Prohaska ogłosili zapiski sądów grodzkich i ziemskich lwowskich, halickich, przemyskich, sanockich i (częściowo) woj. bełzkiego z lat 1435—1506, z tym, że sanockie od 1423 r.

po wiekach — reakcje jednostki podnieconej toczącym się przed sądem sporem, zanotowane piórem pisarza — obserwatora, reakcje nieraz żywołowe, „niecenzuralne” nierzadko wypowiedzi i gesty. Odbijała w nich natura ludzka niezmienna, której żywe przekazy trwają od czasów Kodeksu Hammurabiego w dziejach prawodawstw wszystkich społeczeństw. A nakładały się na to znane mi dobrze dane terytorialne, powtarzały znajome nazwy wsi i miasteczek, odbijał krajobraz kraju mego dzieciństwa.

Dostęp do archiwów był w owych czasach dla studenta a nawet doktoranta. zamknięty. Stanowisko kierownika katedry prof. J. Rafacza było nieugięte: praca doktorska ma być oparta na źródłach drukowanych — na archiwa czas przy pracy habilitacyjnej. Sam „mól archiwalny” większość życia spędzał nad oryginałami, gromadząc tysiące fiszek: odpisów, wyciągów i notat do zamierzonej wielkiej pracy o Trybunale Koronnym, które paść miały pastwą ognia w pożodze września 1939 r. Wiadomo było, że prof. Józef Siemieński, dyrektor Archiwum Głównego Akt Dawnych jest niezwykle surowy i nie da zgody na zajrzenie do akt bez polecenia ze strony Rafacza. Dlatego przed wojną nie widziałem archiwów warszawskich. Kompensowałem to sobie podczas dość częstych przyjazdów do Lwowa. Stanowisko mego Ojca, poważanego i popularnego w kołach lwowskich, prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego, znającego wszystkich i związanego bliskimi więzami ze wszystkimi, otwierało zamknięte bramy. Oczywiście pierwsze kroki były do archiwum bernardyńskiego, którym wówczas, po śmierci O. Balzera, kierował dr Wojciech Hejnosz. Wszak moją pracę doktorską opierałem właśnie na zipskach czerwonoruskich². Dr Hejnosz przyjął mnie życzliwie, wręcz serdecznie. Siedział właściwie w magazynie: w długim krużganku klasztornym zajęty przez Archiwum, na prawo od wejścia znajdowało się podium, na którym stało biurko — dawne miejsce profesora O. Balzera, dziś zajęte przez Jego następcę. Pokazał mi oryginały ksiąg XV-wiecznych: wówczas przekonałem się, że kursywna paleografia zapisek różni się jak niebo i ziemia od pięknej paleografii dyplomów czy kodeksów, którą miałem jako tako opanowaną. Ale pokazał mi znacznie więcej: czytelne już dla mnie księgi z XVII w., między innymi z okresu oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego (1655 r.), ze wspaniałymi rysunkami marginalnymi. Uzupełniły to wizyty w Archiwum Państwowym u profesora Eugeniusza Barwińskiego, gdzie po raz pierwszy widziałem bogaty aparat inwentarzy, katalogów i wspaniałe kartoteki skorowidzowe całej tzw. „Galicji”. Rozmowy nieraz bardzo zażyłe, nieco trzeba przyznać, knajpiane, z reguły przy znakomitym winie u „Kozioła” z profesoro-

² Proces o zbiegłych poddanych na Rusi Czerwonej w XV wieku, nie publ.

rem Barwińskim³, spotkania z doktorem Kazimierzem Lewickim, współpracownikiem Archiwum, a równocześnie asystentem mego Ojca — dopełniły miary: już wówczas chyba „połknąłem bakcyła archiwalnego”. Pod wpływem tego i w Warszawie zająłem się bliżej rękopisami Biblioteki Ordynacji Zamoyskich. Nadużywając cierpliwości Bohdana Horodyskiego⁴ zacząłem bliżej interesować się Archiwum Zamoyskich, którego znaczne części przewiezione zostały niedługo przed wojną z Podzamcza, Klemensowa i Kozłówek do Warszawy. Obiecywałem sobie bliższe zapoznanie się z nimi po sfinalizowaniu doktoratu. Ale nie miało to nigdy nastąpić. Warunki osobiste miały powstać dopiero po krwawych latach, a wówczas owe zbiory — z małymi wyjątkami — stanowiły już ledwie garstkę popiołu.

Tak więc „przygotowanie psychologiczne” miałem za sobą. Podejmo wałem pracę w archiwach w pełni otwarty, ciekawy dokumentów, ludzi, metod. Teraz świat ten stanął przede mną otworem.

2. W WYDZIALE

Wydział Archiwów Państwowych istniejący tradycyjnie w ramach Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (od jesieni 1918 r., od „rządów” powoływanych przez Radę Regencyjną Królestwa Polskiego) znalazł się po Wyzwoleniu w strukturze organizacyjnej Ministerstwa Oświaty.

W chwili przydzielenia mnie do pracy na czele stał wspomniany już dr Rafał Gerber z tytułem dyrektora archiwów państwowych. Personel był nieliczny, etatowych urzędników miał zaledwie siedmiu. Byli to pracownicy naukowci przeważnie z doświadczeniem archiwalnym: dr Janusz Durko zastępca dyrektora z tytułem naczelnika, dr Jadwiga Janowska, zasłużona archiwistka z największym stażem i osiągnięciami archiwalnymi, mgr Maria Bielińska, ruchliwa i aktywna, która miała się stać niebawem kluczową osobą w obsadzie Wydziału. Duszą i sercem

³ Eugeniusz Barwiński (1874—1947), od 1913 r. dyrektor Archiwum Państwowego we Lwowie, pod koniec życia kustosz AP w Krakowie. Popularna i wysoce interesująca postać lwowska, typowy „gente Ruthenus, natione Polonus”, uczestnik ekspedycji szwedzkiej AU w Krakowie, rokowań z Austrią o podział materiałów archiwalnych (zakończonych układem zwanym „Bittner—Dembński”), wybitny znawca historii Galicji i wspaniały gawędziarz. „Kozio!” — znana winiarnia i restauracja we Lwowie (Dominikańska 3).

⁴ Bohdan Horodyski (1904—1965) pracownik naukowy Biblioteki Ordynacji Zamoyskich od 1932 r., od 1935 r. kierownik działu rękopisów, w latach 1936—1945 zastępca dyrektora, od 1945 kierownik działu rękopisów Biblioteki Narodowej, w latach 1956—1962 p.o. dyrektora BN, później, do zgonu, zast. dyrektora BN. Znacomity bibliotekarz i organizator, świetny kolega, wybitny działacz społeczny.

pracy była pani Anna Frąckiewiczowa, długoletnia pracowniczka Wydziału (od 1918 r.), która wiedziała wszystko, znała na wylot wszystkich przedwojennych archiwistów i „matkowała” wszystkim nowym adeptom archiwistyki polskiej. Prowadziła ona sekretariat Wydziału i jego sprawy personalne. Sprawy finansowe spoczywały w rękach pani Janiny Głuszkowskiej, osoby energicznej, sprawnej w działaniu, choć niekiedy z pozoru szorstkiej i nie zawsze łatwej we współpracy.

Ja miałem być tym siódmym. Poza obsadą etatową w Wydziale pracowali — pojawiający się w niektóre dni — delegowani z macierzystych archiwów warszawskich do specjalnych, prowadzonych przez siebie zagadnień, wybitni archiwiści, uczeni i doświadczeni. W ich rzędzie na pierwszym miejscu wymienić chyba trzeba dra Piotra Bańkowskiego, który miał następnie przejść do stałej pracy w Naczelnej Dyrekcji Archiwów, jako długoletni wysoce zasłużony redaktor „Archeionu”. W czasie mego przyjęcia do pracy był zatrudniony w AGAD, skąd również „dochodził” dr Antoni Rybarski, znakomity „Rybcio” niewysoki grubasek, wesoły i krotochwilny, wybitny znawca zagadnień heraldyki. Bardzo częstym gościem w Wydziale był również dr Aleksy Bachulski⁵, uroczy człowiek — nie jestem jednak pewien czy jako współpracownik, czy też pojawiający się w celu załatwiania konkretnych spraw „interesant” z zewnątrz. Stałe kontakty utrzymywali nadto dyrektor AGAD dr Adam Stebelski, cieszący się wielkim autorytetem środowiska i mający duży wpływ na R. Gerbera, dr Kazimierz Konarski, b. dyrektor Archiwum Akt Dawnych na Jezuickiej oraz dr Józef Stojanowski, dyrektor Archiwum Akt Nowych. Wszyscy oni stanowili zespół wybitnych znawców, uczestniczyli w niekończących się dyskusjach teoretycznych i organizacyjnych, mieli za sobą aktywną działalność poszukiwania, ratowania i zabezpieczania rozproszonych w toku wojny materiałów archiwalnych prowadzoną szczególnie intensywnie w latach 1945—1948. Byli oni nieformalną, ale efektywnie działającą i nieodzowną radą naukową Wydziału. Była to praktycznie biorąc „rada nieustająca” — dyskusje w zmieniającym się w miarę okoliczności składzie trwały bez przerwy: w gabinecie dyrektora, w stołówce, kawiarni, na ulicy, w pomieszcze-

⁵ Aleksy Bachulski (1893—1951) jedna z najbarwniejszych postaci archiwistyki polskiej. Niebywały erudyta, piszący mało i publikujący niechętnie, świetny gawędziarz. Wzrostu niskiego, szczupły, typ ascetyczny, odżywiał się bardzo źle (podobno głównie herbatą i chlebem). Twarz miał z lekka wykrzywioną, zawsze do brotliwy uśmiech, spoglądał głównie jednym okiem znad opadających okularów. W latach, kiedy go blisko znałem, nie rozstawał się ze starym plecakiem, na którego dnie zawsze miał kilka książek. Zachorował nagle, w czasie pierwszomajowego pochodu poczuł bóle w jamie brzusznej, wrócił do domu do Zbójnej Góry (koło Radości) i wziął na przeczyszczenie. A jak się okazało, było to ostre zapalenie wyrostka i rycyna była zabójcza. Zmarł 6 maja, powszechnie żalowany.

niach odradzających się archiwów, głównie w Pałacu pod Blachą, gdzie miało swą siedzibę AGAD i gdzie oprócz A. Stebelskiego miało szczerze mieszkanka służbowe wielu wybitnych archiwistów. Na najwyższym szczeblu przeciągał je Gerber do późnej nocy, i trzeba przyznać umiał je prowokować, wywoływać, żarliwie w nich uczestniczyć, wreszcie wyciągać z nich różne, często trafne wnioski i decyzje.

Na razie jednak, dla mnie, najmłodszego stażem adepta, nie były one na tym poziomie dostępne. Moje wykształcenie i wchodzenie w ten zakłętą krąg, miało swoiste formy i drogi. Dużą tu rolę odgrywały rozmowy i pogawędki z wymienionymi wyżej, przede wszystkim z „panem Aleksym”, jak mi się pozwolił nazywać, Bachulskim. Toczyliśmy je zwykle po pracy w małym pokoju-kawiarence, położonym na zapleczu antykwariatu pp. Hniedziewiczów, gdzie pan Piotr Hniedziewicz pannaował wśród książek, a jego małżonka pani Magdalena podawała wspaiałą, aromatyczną kawę. W kawiarence tej na Marszałkowskiej, przy pl. Zbawiciela, spotykałem dra Bachulskiego jeszcze na długo przed przejściem do Wydziału, przy czym wywiązywały się wielogodzinne rozmowy przeplatane przeglądaniem cennych i wspaiałych nieraz źródeł. Był bowiem Bachulski wielkim znawcą książek. Obok tego każdy dzień, każde odwiedziny w pokoju roboczym w gmachu Ministerstwa Oświaty na parterze (w tych pokojach, w których przed wojną mieścił się mój macierzysty Departament Wyznań Min. WRiOP, a konkretnie jego Wydział I — wyznań katolickich) stanowiły kolejny wykład lub seminarium, kolejny etap wtajemniczenia.

Właściwą moją nauczycielką stała się jednak Pani Jadwiga — dr Janowska. Pomieszczono nas w jednym pokoju. Chłodna, opanowana, nieco wyniosła, okazała się znakomitą koleżanką, umiarkowaną i taktowną w dyskretnym pouczeniu i niedostrzegalnym kierowaniu niepewnymi krokami młodszego kolegi. Tytułem pierwszej pracy szkoleniowej, wprowadzającej w arkana zawodu, podjęliśmy uporządkowanie akt Wydziału z lat 1945—1947 dotyczących rewindykacji polskich materiałów archiwalnych wywiezionych przez okupanta hitlerowskiego. Były w tym oryginalne akta okupacyjnego Archivverwaltung oraz późniejsze zeznania oraz protokoły rozmów prowadzonych z czołowymi archiwistami niemieckimi (z E. Randtem na czele), pracownikami tego urzędu, przez Polską Misję Wojskową w ówczesnym sektorze radzieckim Berlina, były dalej sprawozdania archiwistów polskich zarówno z poszukiwań i prac zabezpieczających na terenie Ziemi Odzyskanych, jak i w okupowanych Niemczech (misje A. Stebelskiego w Goslarze). Lektura tych pasjonujących nieraz dokumentów, ich segregacja, próba nadania układu wprowadzała mnie w świat nowy i bogaty, nowych pojęć, świat ludzi, z których wielu już wymieniłem i znałem z przedwojennych sporadycznych

kontaktów, a teraz z codziennej współpracy. Przy okazji dowiadywałem się mnóstwa interesujących szczegółów. Inna sprawa, że tej części zespołu akt Wydziału nadaliśmy z panią Jadwigą układ chyba zbyt skomplikowany i za mało przejrzysty. Ale to ocenić mogłem dopiero znacznie później.

Równocześnie w ówczesnej siedzibie Archiwum Głównego Akt Dawnych w Pałacu pod Blachą uruchomiony został kurs doszkalający dla pracowników naukowych archiwów warszawskich. Zostałem na ten kurs skierowany. Wykładowcami byli najwybitniejsi archiwiści: A. Stebelski, K. Konarski, J. Karwasińska, A. Wolff, A. Bachulski, J. Stojanowski, P. Bańkowski i J. Jankowska; R. Gerber wygłosił tylko jeden odczyt — inauguracyjny. Wśród słuchaczy było wiele świeżo zwerbowanych do pracy w archiwach młodych ludzi obojga płci, obok nich jednak również tacy, którzy mieli już za sobą kilkuletnią praktykę archiwalną rozpoczętą w czasie okupacji. Kilku z nich na stałe związać się miało z archiwistyką polską i zdobyć w niej poważne pozycje, inni po krótkim stażu w archiwach przeszli na inne pola działalności naukowej. W sumie było nas około 25 osób. Utkwiły mi w pamięci sylwetki monumentalnej „Dady” Wareckiej (później Kosackiej), pięknej Ireny Sułkowskiej (później Sułkowskiej-Kuraś), Zbigniewa Wójcika (jeszcze wówczas młodziutkiego magistra), Barbary Smoleńskiej, Tadeusza Lalika; kilku nie ma już pośród żyjących. Pracowaliśmy intensywnie, starając się nie uronić niczego z treści pięknych wykładów wygłaszanych ze znakomitą znajomością tematu, z zapałem i zaangażowaniem przez naszych wykładowców.

Następnym etapem szkolenia była praktyka w AGAD. Miałem ustalony dzień w tygodniu, w którym byłem wolny od pojawiania się w biurze, natomiast obowiązany byłem stawić się Pod Blachą. Dyrektor A. Stebelski przydzielił mnie najpierw do segregacji wstępnej zakupionego niedawno zbioru Aleksandra Czołowskiego.

Czołowski (1865—1944), znany historyk lwowski, dyrektor Archiwum i Muzeum Historycznego m. Lwowa był kolekcjonerem dawnego typu, sięgającego tradycjami początków XIX w., typu opartego na wzorcach takich jak T. Czacki czy J. M. Ossoliński. Zajmował się głównie historią Małopolski, Podola i Ukrainy. Głównym źródłem jego zbiorów były stałe kontakty z handlarzami makulatury. Jak nosły wieści powtarzane w środowisku lwowskim (i nie tylko lwowskim), odkupywał systematycznie od handlarzy całość zebranej przez nich masy papierowej, płacąc o 2 halerze więcej za kilogram niż otrzymywali oni w papierni, następnie przeprowadzał odpowiednią selekcję, zatrzymując wszystko co mogło mieć jakąkolwiek wartość, a pozostałość odprzedawał ponownie swym

dostawcom, biorąc o 1 halerz mniej niż wynosiła oficjalna cena detaliczna. W ten sposób za 3 halerze za kilogram stawał się właścicielem nieraz bardzo cennych dokumentów. Takie było główne źródło kolekcji, niestety jak o tym szeptano — a ja miałem się możliwość naocznie przekonać — nie jedyne.

Kolekcję swą wywiózł A. Czołowski w czasie okupacji ze Lwowa do Krakowa (1941 r.). Było tego kilkanaście, a bodaj czy nie kilkadziesiąt skrzyń. Czołowski zmarł w 1944 r. we Lwowie, a Wydział Archiwów Państwowych zakupił od spadkobierców całość skrzyń za pokaźną wówczas kwotę 100 000 zł.

Pracę rozpoznawczą zakupionych materiałów skoncentrowano w AGAD. Kierowała nią doc. J. Karwasińska — wykonawcami było kilka osób, do których zostałem dołączony w wymiarze jednego dnia w tygodniu. Panią Jadwigę Karwasińską znałem dobrze jeszcze z okresu studiów, kiedy uczęszczałem przez parę semestrów na prowadzone przez nią proseminarium przy katedrze profesora S. Kętrzyńskiego. Praca polegała na przeglądaniu przydzielonej mi wiązki papierów, karta po karcie, robienie wstępnej, uproszczonej notaki rozpoznawczej i odkładanie w pierwotnej kolejności. W przypadku natrafienia na dokumenty z XV i XVI w. należało je wyłączyć i powiadomić docent Karwasińską. Z reguły w materiałach były składki i posyty stanowiące pewne zwarte fragmenty, czasami dość łatwo dające się rozpoznać. Pewnego dnia w ręce moje wpadła jednak pojedyncza karta zapisana jednostronnie pięknym renesansowym pismem, bardzo staranną kaligrafią z pierwszej połowy XVI w. Dotyczyła wypłaty jakiejś sumy na koszty zaciągu i utrzymania roty koronnej na Podolu w końcu dwudziestych lat tego wieku. W górnym prawym rogu była wpisana niewielkimi znakami jakaś cyferka. Tekst zaczynał się od dużej litery bardzo ozdobnie wypisanej, opatrzonej licznymi wywijasami. Zgodnie z obowiązującymi zasadami pokazałem znalezisko pani Karwasińskiej. „Chwileczkę, chwileczkę” powiedziała spojrzawszy na kartę, „pan pozwoli za mną”. Przeszliśmy na drugą stronę gmachu, do magazynu mieszczącego się w skrzydle biblioteki królewskiej. Pani Karwasińska podeszła najpierw do regału, na którym szeregiem stały sumariusze i księgi skorowidzowe Archiwum Skarbowego Koronnego. Po chwili skinęła na mnie. „Proszę zwrócić uwagę na to, że karta, którą pan znalazł jest wycięta najprawdopodobniej brzytwą lub żyłką. Wskazuje na to fakt, że brak części najszerzej pociągniętego ozdobnika inicjału. To znak, że odcięto lewy margines karty. Natomiast cyferka z prawej strony u góry to foliacja XVI-wiecznej kancelarii. Zaraz sprawdzimy, czy się zgadza”. Podeszliśmy do regałów, na których ustawione były księgi pokwitowań (*libri quitantiarum*). Istotnie w szeregu cyfr foliacji brakowało tej właśnie, zgadzała się także pozycja sumariusza

sporządzonego chyba jeszcze w XVIII w. „Tak oto przywracamy na właściwe miejsce usunięty stąd dokument” zakończyła pani docent.

Później, po zakończeniu wstępnej segregacji zbioru Czołowskiego, zająłem się — na polecenie dyrektora Stebelskiego — już samodzielnie inwentaryzacją znacznej partii dokumentów papierowych, głównie tzw. manifestów, a następnie opracowaniem tzw. „variów” łączyczkich. Ten ostatni zbiór był o tyle ciekawszy, że segregowany był wstępnie chyba w początku lat siedemdziesiątych XIX w. przez archiwistę ówczesnego Archiwum Sądowego w Warszawie, którego nazwiska nie pomnę. Otóż ten, jak wynikało z kontekstu młody człowiek, segregowane przez siebie części zbioru owijał w makulaturę jaką miał pod ręką: listy swej matki, która informowała go o różnych wypadkach 1863/1864 r. w najbliższej okolicy, nieszczęściach spotykających licznych krewnych i znajomych, a przede wszystkim zaklinała syna, by trzymał się z daleka od wszelkich knowań i zamieszek i nie wdawał się w „żadne awantury”. Nie umiałem dociec, czy była w tym postępowaniu dawnego archiwisty tylko łatwizna posłużenia się makulaturą, jaką miał pod ręką, czy też chęć zachowania miłej sercu pamiątki rodzinnej w sposób pewny, nie wpadający w oczy, usunięty przed możliwością ujawnienia przy ewentualnej rewizji w mieszkaniu adresata. Na tych pracach skończyła się praktyka. Bieżący tok prac Wydziału intensyfikował się i narastał w sposób uniemożliwiający dalszą absencję przy biurku urzędu.

Roboty w Wydziale było istotnie coraz więcej. Szczupła obsada personalna „wychodziła ze skóry” by sprostać nowym zadaniom. Właściwie nie było wówczas żadnego podziału funkcji — wszyscy wiedzieli o wszystkim i musieli w każdej chwili być przygotowani na zabranie się do zagadnienia, o którym miało się zaledwie słabe wyobrażenie. Gerber znajdował się „na fali wzrostu”, niemal co dzień przydzielał nam zadania, rozdzielał funkcje, ustalał zakresy pracy: wieczorem — w toku długich rozmów ze Stebelskim, Bachulskim czy Konarskim dochodził do wniosku, że pilniejsze będzie skierowanie całego wysiłku w zupełnie innym kierunku i na drugi dzień zwoływał nowe zebranie, na którym okazywało się, że wczorajsze ustalenia są już całkowicie nieaktualne, że mamy od zaraz zabrać się do pilnego rozwiązywania całkiem innej dziedziny. Były to zawsze sprawy istotne, pilne i słuszne. Utkwiło mi w pamięci takie zebranko, na którym Janusz Durko, formalnie zastępca Gerbera, nie wytrzymał i wypalił: „Dyrektorze, ta Wasza inicjatywa jest piękna i słuszna, ale może dajcie nam trochę czasu na zrealizowanie wczorajszej, równie pięknej i słusznej, a wtedy zabierzemy się do dzisiejszej”.

Był bowiem Rafał Gerber archiwistą z krwi i kości. Pochodził z Ujazdu, małego ghetta w mieście opodal Tomaszowa Mazowieckiego. Zdolny i pracowity, ukończył Wydział Historyczny UW, studiując

u Wacława Tokarza, obronił pracę doktorską o produkcji dział w czasie powstania listopadowego⁶, a równocześnie ukończył Kursy Archiwalne przy Archiwum Akt Dawnych na ul. Jezuickiej. Z zaświadczeniem ukończenia tego kursu w kieszeni znalazł się we wrześniu 1939 r. na Wschodzie. Na tej podstawie zatrudniony został w archiwach radzieckich (podlegających wówczas NKWD, później przemianowanemu na MWD)⁷. Pod koniec wojny zajął się organizacją archiwum Związku Patriotów Polskich w ZSRR. Legitymacja ta otwierała wówczas wszelkie drzwi...

Silnej budowy ciała, średniego wzrostu, zbudowany był potężnie, co akcentowała skłonność do otyłości. Czarne kręjące się włosy, grube rysy twarzy, wydatny mięsisty nos i grube wargi nadawały mu typ, powiedziałbym raczej asyryjski niż typowo semicki. Lewe oko stale nerwowo mrużył w częstym skurczu powieki. Posiadał wysoką inteligencję, duży spryt życiowy, nieprzeciętną energię i siłę witalną wyrażającą się przede wszystkim w potrzebie ustawicznych inicjatyw, doskonałą pamięć i jak już powiedziałem wybitne zamiłowanie archiwalne. Pod koniec życia zeszcupiał, posiwiał i wyraźnie wyprzystojniał. Gdy przypadkiem spotkałem go w szpitalu parę miesięcy przed jego zgonem — był pięknym starszym panem. Pozostał mu nadal charakterystyczny gardłowy głos, nie opuszczającego go nigdy poczucie humoru, z autoironią włącznie. Charakterystyczne jego powiedzonko: „ja, starozakonny bezbożnik”, które kilkakrotnie usłyszałem przy różnych okazjach, charakteryzuje dobitnie tę właśnie cechę. Przy dużych wadach charakteru (o niektórych będę mówił w dalszym ciągu) — był w sumie postacią dodatnią, dla archiwów polskich zrobił dużo, bardzo dużo. Ten aktywny stosunek do spraw archiwalnych zjednał mu — mimo wielu widocznych wad — uznanie i sympatię naszej grupki jego bliskich współpracowników. Ale któż jest bez wad...

Źródłem siły i wpływów Rafała Gerbera był, obok posiadania wspomnianej legitymacji, jeszcze fakt drugi: był krewniakiem wszechpotężnego w owym czasie Jakuba Bermana. A z tego oparcia umiał korzystać. Do czasu jak się miało okazać.

A czasy były niełatwe. Broniła nas jednak młodość, entuzjazm, w którego rozpalaniu i podtrzymywaniu leżała niemała zasługa Rafała Gerbera, świadomość, że budujemy coś, co musi przetrwać przez długie dziesiątki lat, że praca, jaką wykonujemy, zaowocuje w następnych pokoleniach. Ten motyw futurologiczny był stale obecny we wszystkich poczynaniach.

⁶ R. Gerber, *Fabrykacja dział w powstaniu listopadowym*, Przegląd Historyczno-Wojskowy, 1930, s. 3; s. 55—90.

⁷ Narodnyj Komisariat Vnutrennych Del, później Ministerium Vnutrennych Del — Ludowy Komisariat i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. ⁸

Byłem wciąż bardzo świeży i naiwny w pracy archiwalnej. Doszkałem się pilnie, ale zdawałem sobie jasno sprawę z własnych braków i niekompetencji. Toteż bardzo byłem strapiony, kiedy otrzymałem polecenie wyjazdu do Szczecina i przeprowadzenia wnikliwej wizytacji szczecińskiego archiwum. Rzecz polegała na tym, że dyrektor tego archiwum Bolesław Tuhan-Taurogiński nadesłał obszerny, pięknie oprawny maszynopis zatytułowany „Przewodnik po Archiwum Państwowym w Szczecinie” z propozycją ogłoszenia go drukiem. Było to wydarzenie dużej miary: świeżo po objęciu archiwum, którego zasoby były ewakuowane przez wycofujące się władze niemieckie i rozproszone po różnych miejscach ukrycia — po zaledwie paroletnich pracach archiwistów polskich przedstawiono do druku przewodnik!

Zapoznawszy się pobieżnie z treścią maszynopisu pojechałem do Szczecina. Byłem w tym mieście po raz pierwszy. Budynek archiwum — typowy dla pruskich archiwów — nie ucierpiał, był tam nawet pokój gościnny, gdzie zostałem ulokowany. Kilkudniowa wizytacja wyjaśniła sprawę: akta były rozśrodkowane, jak to się dziś mówi w największym porządku, z pełną stosowną identyfikacją każdej paczki. Na opróżnionych regałach zachowały się tabliczki informujące co na nich powinno leżeć. Dotarcie do miejsca ewakuacji i przywiezienie materiałów jasno opisanych umożliwiło położenie paczek na właściwym miejscu. Pewne, bardzo niewielkie, luki czekały jeszcze na uzupełnienie. Przestronne magazyny, wszędzie porządek. Właściwie był to pierwszy lokal budowany z przeznaczeniem na cele archiwalne, jaki widziałem. To z czym zetknąłem się przed wojną i to, co widziałem w bieżącej pracy w Warszawie — to były wszystko lokale adaptowane, mniej lub więcej pospiesznie i mniej lub więcej udatnie. Coś mnie jednak niepokoiło, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że mimo wszystko propozycja publikacji przewodnika jest przedwczesna. W ostatnim dniu pobytu w Szczecinie zająłem się „zbiorem dokumentów pergaminowych”, jak opiewał nagłówek odpowiedniego rozdziału „Przewodnika”. Uprzednio kilkakrotnie proponowałem przegląd tego ważnego działu zbiorów, ale było to wciąż odkładane pod różnymi pretekstami. Jako najstarszy dokument pergaminowy z numerem 1, na czołowym miejscu „Przewodnika” figurował dyplom prywatnego rodu rycerskiego z końca XII w., coś około 1180 r. Zająłem się komodą, w której przechowywane były dokumenty, przeszukanie jej zawartości dało wynik negatywny: dyplomu z cechami odpowiadającymi opisowi nie znalazłem. Zwróciłem się do dyrektora Taurogińskiego, który w tym dniu był zajęty jakimiś bieżącymi sprawami i nie towarzyszył mej pracy. Wydobył leżący gdzieś na uboczu rulon kalki technicznej (zwanej przez laików papierem pergaminowym), na którym w okresie hitlerowskim wykreślony był grafionem starannie wykonany rodowód

(Ahnentafel) rodziny o wskazanym w maszynopisie nazwisku. Jako protoplasta rodu u góry arkusza wykaligrafowany był jakiś osobnik opatrzonej ową datą 1182. Drzewo genealogiczne było kompletne, sięgało aż po lata 1940... I to opatrzone było dumną „1” i zakwalifikowane jako dokument pergaminowy z owego najwcześniejszego roku... Zdumienie moje nie miało granic.

Znalazło ono wyraz w obszernym sprawozdaniu z wizytacji, które złożyłem dyrektorowi Gerberowi po powrocie. Wynik był równie zaskakujący jak opisane zdarzenie — B. Tuhan-Taurogiński został niebawem przeniesiony do Warszawy, na kustosza w AGAD (otrzymał mieszkanie w Pałacu pod Blachą, czego w żaden sposób — w ówczesnych warunkach — nie można było uznać za nic innego jak wyróżnienie). Bolesław Tuhan-Taurogiński z pochodzenia był Tatarem, zdaje się z grupy słonimskiej. W okresie międzywojennym pracował u Radziwiłłów w Nieświeżu. W broszurze okolicznościowej wydanej po wizycie marszałka Piłsudskiego w Nieświeżu (1928), na jednej z fotografii widać go wyraźnie wśród osób otaczających dostojnego gościa. W czasie powstania warszawskiego, w niewiadomych mi bliżej okolicznościach podobno uratował archiwum Radziwiłłowskie znajdujące się wówczas w Warszawie, w jednej z kamienic przy ul. Marszałkowskiej, chyba w pobliżu placu Unii Lubelskiej. Archiwum to przekazać miał Wydziałowi Archiwów Państwowych, za co pono otrzymał wysoką nagrodę. Wysoki, czarny, smagłej cery, robił wrażenie energicznego — niespecjalnie sympatycznego. Do dziś nie wiem, czy cała sprawa była rzeczywistym błędem pana Taurogińskiego, czy testem mającym na celu sprawdzenie mej kompetencji i spostrzegawczości.

Otrzymywałem następnie różne inne zlecenia wyjazdowe: odwiedziłem wszystkie ówczesne archiwa: Kraków, Poznań, Wrocław, Lublin, Gdańsk, Bydgoszcz, Łódź, Piotrków, Toruń, wiele z nich po kilka razy. Wracalem też kilkakrotnie do Szczecina, gdzie długie, niezwykle ciekawe rozmowy prowadziłem z drem T. Kupczyńskim, następcą Taurogińskiego na dyrektorskim fotelu.

Najprzykrzejszą misję miałem w Olsztynie: pewnego dnia wezwał mnie Gerber, wręczył pismo wypowiadające z mocą natychmiastową pracę dyrektorowi olsztyńskiemu W. Adamczykowi z klauzulą uzupełniającą, że od chwili doręczenia pisma nie posiada on wstępu do magazynów archiwum. „Pojedzie pan dziś nocą do Olsztyna, jutro rano doręczy pan to pismo i zaraz pan wraca, tymczasowym zastępcą będzie pan Grygier, nowy pracownik archiwum; pytany o motywy odpowie pan — tak jak jest prawdą — że pan nie jest poinformowany o niczym, ma pan tylko polecenie wręczenia pisma. To wszystko”.

Przyjazd mój do Olsztyna był pełnym zaskoczeniem nielicznego per-

sonelu archiwum. Pracowały tam wówczas tylko 3 czy 4 osoby. Pamiętam, że rozmowa zaczęła się w sekretariacie, w obecności wszystkich pracowników. Nie miałem wprost odwagi załatwić sprawy publicznie. Po dłuższej chwili, kiedy zorientowałem się, że w archiwum nie ma odrębnego pomieszczenia, gdzie mógłbym mówić w cztery oczy z dyrektorem, zaproponowałem mu, byśmy wyszli. Na jakiejś ławce w parku przylegającym do zamku doręczyłem dyrektorowi Adamczykowi pismo, powtarzając słowa R. Gerbera. Blady pan Adamczyk zachował się godnie: pokwitował otrzymanie pisma. Wróciliśmy do archiwum, gdzie on zakomunikował obecnym: „Przestałem z tą chwilą być dyrektorem archiwum, następcą moim jest pan Grygier. Na razie żegnam państwa, wrócę tu pewnie po moje drobiazgi”. Piorun strzelił w towarzystwo. Tadeusz Grygier pierwszy zabrał głos: „Ależ ja dopiero od niespełna miesiąca tu pracuję”. „Nic na to nie poradzimy, takie są decyzje władzy”. Po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, co kryło się za tą sprawą: W. Adamczyk przed paru miesiącami przeniesiony był do Olsztyna z Lublina. W jakiś czas po jego wyjeździe ponoć znaleziono w magazynach archiwum lubelskiego nie wykazane w żadnej ewidencji konspiracyjne archiwum jakiegoś ugrupowania, które działało w podziemiu jeszcze po 1944 r. Panna Adamczyka widziałem raz jeszcze w Olsztynie podczas powtórnej mej tam bytności — rozmawialiśmy w sposób, który wskazywał, iż zrozumiał dobrze moją przykrą sytuację posłańca.

W późniejszym okresie, jeśli chodzi o zakres wizytacji, dokonany został podział archiwów; przez parę lat przypisany byłem do archiwów Polski północnej: Szczecin, Gdańsk, Bydgoszcz, Toruń i Olsztyn należały do mnie.

Poznałem wówczas bliżej wielu bardzo wybitnych działaczy archiwalnych: w Krakowie Mariana Friedberga, Włodzimierza Budkę, Adama Kamińskiego i Henryka Dobrowolskiego, w Poznaniu przede wszystkim niezapomnianą postać Kazimierza Kaczmarczyka, we Wrocławiu Michała Wąsowicza i Andrzeja Derenia, sędziego Leona Białkowskiego w Lublinie, przemiłego Marcina Dragana, a nieco później i Rocha Morcinka w Gdańsku, w Bydgoszczy Tadeusza Esmana, w Łodzi odnalazłem znanego mi już od 1945 r. Romana Kaczmarka i poznałem Stefana Rosiaka, doświadczonego archiwistę wileńskiego, w Toruniu zetknąłem się z czcigodną panią Heleną Piskorską. Z wieloma z wymienionych połączyły mnie więzi dobrej, bliskiej, a czasami serdecznej znajomości.

Inną moją dziedziną były zagadnienia organizacji nowych archiwów. Zaczęło się od generalnych problemów lokalowych. Konkretnie zaczęło się od tego, że z polecenia R. Gerbera przeprowadzałem pertraktacje z Komitetem Żydów w Polsce. Kontakt nie przyszedł łatwo. Wiele razy odwiedzałem lokal na ul. Twardej (dziś KRN), ale stale znajdowałem go

zamknięty na dużą kłódkę. Wreszcie za którymś razem zastałem drzwi otwarte. Bez większego trudu uzyskałem pożądane porozumienie: w miejscowościach, w których znajdują się nieczynne synagogi nadające się do remontu i adaptacji — a nie ma gminy wyznaniowej, archiwa mogą je zająć i dostosować do własnych celów. Argumentem był przypadek Kazimierza Dolnego, gdzie dobrze zachowany budynek zabytkowej bożnicy przebudowano na kino. Obu stronom wydawało się oczywiste, że archiwum, instytucja naukowa, spokojnej i cichej pracy, bardziej odpowiada uprzedniemu sakralnemu przeznaczeniu danego obiektu. Udało się uzyskać przyznanie nam konkretnych budynków: jednej z bożnic w Rzeszowie (pięknie odbudowanej wg projektu inż. Krawczyńskiego, z którym kilkakrotnie wyjeżdżałem w tym celu do tego miasta), w Kielcach, gdzie uszkodzenia budowlane były stosunkowo minimalne oraz — o dziwo — w Olsztynie. Okazało się tutaj, że hitlerowcy, którzy na terenie GG niszczyli w zasadzie wszystkie synagogi, „u siebie”, w Olsztynie uszanowali niezbyt wielki obiekt w stanie niemal nienaruszonym, położony na nieczynnym cmentarzu żydowskim. Budynek został po różnych perypetiach zagospodarowany jako rezerwowo magazyn archiwum mającego główną siedzibę na Zamku.

Do tego zakresu należały też zabiegi o uzyskanie nowej siedziby dla archiwów warszawskich i władz archiwalnych, organizujących się na bazie Wydziału — a później Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych. Prowadziłem odpowiednie pertraktacje: dziesiątki rozmów w Biurze Odbudowy Stolicy, Naczelnej Radzie Odbudowy Warszawy — mnóstwo wizytacji proponowanych lokalizacji. Początkowo usiłowano nam przekazać teren w południowej części pl. Unii Lubelskiej, na początku ul. Puławskiej, ściśle trójkąt za zabytkową roгатką południową (dziś zresztą jak wiadomo nieco przesuniętą). Na terenie tym była wówczas dzika łączka z glinianką, zwykle pełną żab i wszelkiego śmiecia. Uznaliśmy, iż lokalizacja ta nie odpowiada naszym wymaganiom — dziś stoi tam od wielu lat popularny „Supersam”.

O wiele bardziej atrakcyjna była propozycja odbudowania pałacu Mniszków przy ul. Senatorskiej, zwłaszcza że korpus główny miał być przeznaczony na biura i pracownie, natomiast na magazyny miała być wykończona duża żelbetowa konstrukcja z lewej (zachodniej) strony, stanowiąca tzw. budowę banku Landaua — zaczęta przed wojną i stojąca w stanie surowego szkieletu przez cały okres okupacji. Za korpusem pałacu, wypalonym, ale wykazującym jeszcze resztki pięknych sztukaterii i malowideł, znajdował się nadto niewielki ogródek. Sprawą tą zajęliśmy się poważnie, uzyskaliśmy formalny przydział, postawione zostało ogrodzenie i rozlepione ogłoszenia o zakazie kwaterowania. Chodziło o powstrzymanie ewentualnych „dzikich lokatorów”, którzy w owych

latach czyhali na ruiny przeznaczone do odbudowy, zajmowali prowizorycznie parę nadających się jako tako kątów, np. w piwnicach, a następnie występowali z roszczeniami do uzyskania mieszkań zastępczych. Ale ta sprawa nie udała się: pewnego dnia nadeszło cofnięcie decyzji o przydziale. Ruinę pałacu przejęła ambasada belgijska (bez „banku Landaua”) i odbudowała obiekt szybko i skutecznie. Nieco później dopiero uzyskaliśmy ostateczną lokalizację — teren przy „Zieleniaku” na południowy wschód od Alei Krakowskiej. Zaczęły się pertraktacje o sporządzenie dokumentacji i wtedy zetknąć mi się przyszło ze wspaniałą postacią profesora Bohdana Pniewskiego, wodza grupy młodych zapalonych architektów, jego asystentów i współpracowników. Modna była wtedy koncepcja budowy metra warszawskiego. Jej stacja linii wschód—zachód przewidywana była właśnie na placu „Zieleniaka” (róg Alei Krakowskiej i ul. S. Banacha). Mówiono nam wtedy „Zanim zbudujemy tu gmach archiwów będziecie już mogli za 7 minut być w Śródmieściu”. Liczne narady robocze, prowadzone głównie w willi profesora Pniewskiego na Frascati (obecnie mieści się tam Muzeum Ziemi PAN), stanowiły prawdziwą ucztę duchową — wprowadzały w nowy świat techniki i sztuki budowlanej na najwyższym poziomie. By sprostać temu, obłożyłem się tomami podręczników architektury. W jakimś encyklopedycznym, wielotomowym wydawnictwie niemieckim znalazłem wolumen poświęcony budowie gmachów bibliotek i archiwów. Odnalazłem znane mi już dobrze projekty typowe archiwów pruskich z okresu sprzed I wojny światowej, których realizację widziałem w budowach archiwalnych w Szczecinie i Gdańsku (tu w części zachowanej — biurowej, gdyż gmach magazynowy był świeżo odbudowany przy czynnej pomocy E. Kwiatkowskiego po zniszczeniu wojennym już w całkiem innej, nowoczesnej postaci). Dalszy rozwój spraw jest znany: po objęciu kierownictwa Archiwum Akt Nowych (wrzesień 1952 r.) stałem się „głównym użytkownikiem” projektowanego gmachu — jako taki aktywnie współpracowałem z grupą wykonawców projektu z inżynierami Sulikowskim i Parczewskim na czele, opracowując przede wszystkim program użytkowania, następnie nie doczekawszy się realizacji przeszedłem do pracy w Polskiej Akademii Nauk i z dała już tylko obserwowałem jak gotową budowlę oddano w 1957 r. Bibliotece Narodowej „na czasowe użytkowanie”.

Tymczasem życie stawiało przed naszą grupką — poszerzoną o kilka nowych osób — szereg zagadnień organizacyjnych i naukowych dużego formatu. Ważnym wydarzeniem w życiu archiwów polskich stało się między innymi zniesienie samorządu terytorialnego i organizacyjne scalenie administracji państwowej na wiosnę 1950 r.⁸. Pociągało to za sobą

⁸ Ustawa z dnia 20 czerwca 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej (Dz. U. nr 14, poz. 130).

konieczność przejęcia archiwów miejskich i połączenia ich z siecią archiwów państwowych. A były te archiwa miast polskich bogate w zasoby i tradycje, dysponowały na ogół dobrze wyposażonymi lokalami i wysoko kwalifikowanymi zespołami ludzkimi.

Nie wszędzie i nie zawsze scalenie archiwów wywoływało entuzjazm. Jednak innej drogi wyjścia nie było — na ogół „upaństwowienie” archiwów miejskich zostało przeprowadzone gładko. Pociągało to za sobą oczywiście serię podróży służbowych, szereg wizytacji i rozmów, co znacznie rozszerzyło moje pole obserwacji, znajomości i doświadczeń.

Najważniejszym jednak zagadnieniem, którym przyszło mi się zająć, była praca nad dekretem o archiwach państwowych.

Przejąłem tę sprawę jeszcze chyba na przełomie 1949/1950 r. od Janusza Durko. Projekt był wówczas obszernym dokumentem, pomyslanym jako ustawa, obejmującym około 100 artykułów regulujących, jak nam się wydawało, całokształt zagadnień archiwistyki polskiej. Sprawa na razie leżała, czekając na swe dalsze koleje. Wybuchnąć miała nagle w marcu 1951 r. Durko nie pracował już wówczas w NDAP — przeszedł do sieci nowo zorganizowanego Wydziału Historii Partii przy KC PZPR, którym kierował Tadeusz Daniszewski. W skład Wydziału wchodziło archiwum, w którym zatrudniony został Durko. Wiosną 1951 r. pewnego ranka wpadł do biura ożywiony Gerber, wezwał mnie do siebie i wyrzucił: „Miałem dziś w nocy decydującą rozmowę, trzeba radykalnie skrócić projekt, pójdzie jako dekret, zostawiamy tylko podstawowe sprawy — resztę załatwi się w trybie rozporządzeń wykonawczych”. Zrozumiałem, że rozmowa była z J. Bermanem.

Pierwotna wersja projektu była chyba zredagowana jeszcze za czasów dyrektora W. Suchodolskiego. Gerber kilkakrotnie ją zmieniał, krytykując dawne ujęcia, wprowadzając swym zwyczajem coraz to nowe pomysły, które trzeba było dopasować do całości. Obaj z Januszem Durko wiedzieliśmy, że G. posiada materiały porównawcze: teksty nowoczesnych ustaw archiwalnych kilku państw, przede wszystkim kolejne wersje ustawodawstwa radzieckiego, od podstawowego dekretu „leninowskiego” z 1 czerwca 1918 r. poczynając. Parę razy usiłowałem wydobyć od niego owe teksty, chociażby dla celów porównawczych — stale odmawiał: „Musicie wymyślić coś własnego, nowego, nic wam nie dam”, słyszeliśmy w odpowiedzi.

Teraz nadchodziła zupełnie radykalna zmiana — nie było czasu na żadne pogłębione studia. Przyniosłem do dyrektora ostatnią wersję projektu ustawy — usiedliśmy razem i kroili. Wyszedł z tego tekst kadłubowy, który w Biurze Prac Ustawodawczych URM otrzymał ostateczną postać dekretu o archiwach państwowych z 29 marca 1951 r.

Dla archiwów polskich zaczynała się nowa epoka. Dla mnie osobiście oznaczać miała ona utonięcie na czas dłuższy w pracach normatywnych — przygotowywaniu serii rozporządzeń wykonawczych.

DIE ARBEIT IN DER ABTEILUNG FÜR STAATSARCHIVE
(WYDZIAŁ ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH) (1949—1951)
(ein Fragment der Erinnerungen)

Zusammenfassung

Die Erinnerungen betreffen die Zeit vom 1. November 1949 bis März 1951. Am Anfang beschreibt der Autor jedoch seine früheren Verbindungen und Kontakte mit den Archiven, u.a. in Lemberg bis 1939. In der Abteilung für Staatsarchive arbeitete er u.a. mit dem Generaldirektor der Staatsarchive Rafal Gerber und seinen Mitarbeitern: Janusz Durko, Jadwiga Jankowska, Maria Bielińska und zeitweise auch mit den berühmten Archivaren: Aleksy Bachulski, Kazimierz Kónarski, Adam Stebelski und Józef Stojanowski zusammen. Das Praktikum absolvierte er im Zentralarchiv der Alten Dokumente (Archiwum Główne Akt Dawnych) in Warschau unter der Leitung von Jadwiga Karwasińska. Indem er seinen Dienstoffliegenheiten nachging, hat er die Staatsarchive in Szczecin, Olsztyn, Gdańsk, Bydgoszcz und Toruń kennengelernt. Zu seinen wichtigsten Aufgaben gehörte die Arbeit an dem Dekret über die Staatsarchive, das im März 1951 erlassen wurde.